

## Leoś, mały lew

W samym sercu Złotej Sawanny mieszkał mały lew o imieniu **Leoś**. Miał miękką, jeszcze trochę sterczącą grzywkę, wielkie złote oczy i łapki, które lubiły skakać, biegać i wspinać się na kamienie.

Wszyscy w stadzie mówili:

- Lew musi jeść mięso, bo inaczej nie będzie silny!
- Lwy jedzą steki, polują i ryczą najgłośniej!

Tylko z Leosiem był **pewien kłopot**.

Za każdym razem, gdy starsze lwy przynosiły do jaskini pachnący, parujący stek, Leoś marszczył nosek, mrużył oczy i mówił:

- Fuj... to... dziwnie pachnie.

Próbował być **grzeczny**. Czasem brał małe kęsy, ale zaraz wypluwał i szeptał:

- Przepraszam, mam, ja naprawdę nie mogę...

Mama-Lwica głaskała go po głowie:

- Ale, Leosiu, lwy jedzą mięso. Bez tego nie będziesz taki silny jak inni.

Tata-Lew dodawał:

- Patrz na swojego kuzyna, Borysa. On je całe steki! Dlatego ma takie wielkie łapy!

Leoś patrzył na swoje łapki. Były trochę mniejsze niż łapy Borysa. W brzuchu robiło mu się jakoś **ciężko i smutno**.

„Może rzeczywiście coś jest ze mną nie tak” – myślał. – „Może... nie jestem prawdziwym lwem?”

Ale za każdym razem, gdy stek pojawiał się na kamiennym talerzu, **zapach był zbyt mocny**. Leoś krzywił się, język sam wypychał jedzenie z pyszczka, aż w końcu zaczął odsuwać talerz.

Za to inne rzeczy jadł chętnie: kolorowe owoce z sawanny, chrupiące korzonki, nasiona, a nawet specjalną lwią owsiankę, którą mama mieszała z miodem.

Wszyscy mówili:

- Dziwny ten Leoś. Lew bez steku? To chyba niemożliwe.

Nawet niektóre młode lwiątko szeptały:

- To ten, co nie je mięsa. Pewnie jest słabiakiem...

Te słowa wbijały się w serce Leosia jak małe kolce. I choć **biegł szybciej** niż większość lwiątek i **wspinał się najwyżej** na skały, wciąż wierzył, że jest „mniej prawdziwy”.

Jego prawdziwa wartość była **ukryta**, nawet przed nim samym.

Pewnego ranka do Złotej Sawanny przyleciała wieść:

– **Wielki Turniej Lwiej Odwagi** odbędzie się za trzy dni!

Lwy miały się ścigać, skakać przez przeszkody i pokazywać, kto jest najodważniejszy. Zwycięzca miał dostać **Złoty Liść Akacji** – symbol prawdziwej lwiej mocy.

Borys aż podskoczył z radości:

– Ja na pewno wygram! Jem najwięcej steków!

Leoś poczuł, jak w sercu zapala mu się mała iskierka.

„A co, jeśli... też spróbuję? Może udowodnię, że jestem prawdziwym lwem, nawet jeśli steki mi nie smakują?” – pomyślał.

Wieczorem usiadł przy ognisku obok mamy i taty.

– Mamo, Tato... chciałbym wziąć udział w Wielkim Turnieju – powiedział nieśmiało.

Tata-Lew uśmiechnął się szeroko:

– O, mój mały wojowniku! W takim razie musisz wreszcie **porządnie zjeść stek**. To zrobi z ciebie lwa-siłacza!

Mama kiwnęła głową:

– Zrobię ci dziś specjalny stek dla mistrza.

Upiekła go tak delikatnie, jak potrafiła. Dodała zioła, które lubił Leoś, i nawet pokroiła na małe kawałki.

Postawiła talerz przed synkiem.

– Proszę, Leosiu. To cię wzmocni przed turniejem.

Leoś wciągnął powietrze nosem. I... znów to samo.

Zapach był **za mocny**, zbyt „mięsny”, jakby cały wypełniał jaskinię. Brzuszek Leosia ścisnął się nerwowo.

„Ale muszę. Inaczej nie będę silny” – pomyślał.

Wziął jeden kawałek na język.

Raz.

Dwa.

Zęby próbowały gryźć, ale język zaczął uciekać, gardło zrobiło się ciasne. Leoś poczuł, że zaraz popłyną mu łzy. W końcu **wypluł kawałek**.

– Przepraszam... Nie mogę... – wyszeptał.

Tata westchnął ciężko.

– Bez steku nie będziesz miał siły. Pomyśl, Leosiu.

Mama próbowała go karmić łyżką, delikatnie wciskając małe kawałki do pyszczka, ale Leoś kręcił głową, cofał się, a w oczach miał strach.

W końcu odsunął talerz.

– Ja... naprawdę nie mogę – powiedział drżącym głosem. – Może po prostu **nie nadaję się** na Wielki Turniej.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć. Słyszał, jak Borys chwali się innym lwiatkom:

– Zjem jeszcze dwa steki i będę najsilniejszy! Leoś nie ma szans.

Leoś wtulił nos w łapki.

„Próbowałem w zwyczajny sposób. Tak, jak wszyscy mówią. I nie umiem. Może jestem po prostu... słaby?” – myślał ze smutkiem.

Następnego dnia Leoś obudził się z nowym pomysłem.

„Skoro nie umiem naprawdę jeść steku... może **udam**, że wszystko jest w porządku?” – postanowił. – „Może wtedy wszyscy uwierzą, że jestem prawdziwym lwem, a ja sam też w końcu uwierzę.”

Podczas wspólnego posiłku lwy znów usiadły przy kamieniach, na których leżały różne dania.

Borys jak zwykle porwał największy stek.

Mama postawiła przed Leosiem mniejszy, ładniej podany, z ziołami i plasterkami soczystego owocu obok.

– Leosiu, może dziś się uda – powiedziała z nadzieją.

Leoś nabrał powietrza.

„Uśmiech. Muszę się uśmiechać. Jak Borys” – powtarzał w myślach.

Wziął kawałek steku na pazurek i zawołał głośno:

– Mmm, ale pachnie! Na pewno jest pyszny!

Wszyscy spojrzeli z ciekawością.

– No widzisz – mruknął tata z zadowoleniem.

Leoś włożył mięso do pyszczka. Próbował nie oddychać, ale znów poczuł **ten sam zapach**. Język od razu chciał wypchnąć jedzenie. Po policzku spłynęła mu jedna mała łza.

„Nie płacz. Nie pokazuj” – kazał sobie w myślach.

Przeżuł odrobinę. Z trudem połknął maleńki kawałeczek, ale reszta po prostu... **nie chciała przejść**.

Nagle usłyszał chichot.

– Patrzcie! Leoś się krzywi! – zawołało jedno z lwiatek. – Udaje, że mu smakuje!

Kolejne lwiątko dodało:

– Prawdziwy lew nie musi udawać!

Słowa **zabolały** jeszcze bardziej niż smak. Leoś natychmiast wypuścił kawałek mięsa, odsunął się od kamienia i pobiegł za jaskinię, kryjąc pyszczek w trawie.

Usiadł sam. Brzuszek miał pusty, ale gardło pełne łez.

„Próbowałem po cichu. Próbowałem udawać, że lubię to, czego nie lubię. I tak się nie udało” – pomyślał. – „Może nigdy nie będę taki silny i odważny, jak inni. Może naprawdę jestem... zepsutym lwem.”

I właśnie wtedy, gdy był najsmutniejszy, poczuł delikatne muśnięcie czegoś po ogonie.

Coś miękkiego, pachnącego... ziemią i deszczem.

Odwrócił się i zobaczył **mały, zielony listek**, który unosił się w powietrzu, jakby ktoś go prowadził.

Listek zawisł przed nosem Leosia i lekko zadrżał, jakby zapraszał:

– Chodź za mną... .

Leoś zmrużył oczy.

– Czy ja... słyszę listek? – szepnął zdumiony.

Listek nie odpowiedział słowami, ale poruszył się wyraźniej i pomknął w stronę starej, wielkiej skały na skraju sawanny.

Leoś wstał ostrożnie.

– No dobrze... i tak nie mam nic do roboty – mruknął. – Może to jakiś znak?

I poszedł za listkiem.

Listek prowadził Leosia coraz dalej od stada. Przeszli przez złociste wysokie trawy, minęli krzaki akacji, aż w końcu dotarli do miejsca, gdzie sawanna wyglądała inaczej.

Trawa była tam **bardziej zielona**, powietrze pachniało świeżo, a z ziemi wystawały kolorowe plamki – jakby ktoś rozsypał farby.

Pośrodku stała stara, pęknięta skała. Na pierwszy rzut oka zwyczajna, ale listek podleciał prosto do jej boku, gdzie w pęknięciu coś **błysnęło**.

Leoś podszedł bliżej. Zobaczył na skale mały znak – rysunek lwiego łba otoczonego liśćmi.

– Dziwne... – mruknął i dotknął znaku łapką.

W tej samej chwili skała **zadrżała**. Pęknięcie rozszerzyło się cichym zgrzytem i zamieniło w wąską szczelinę, z której buchnął zapach... zupełnie inny, niż zapach steku.

Delikatny, roślinny, trochę słodki, trochę ziemisty.

– Ooo... – oczy Leosia rozszerzyły się ze zdumienia.

Szczelina powiększyła się tak, że mały lew mógł przez nią przejść. Po drugiej stronie coś połyskiwało zielenią i tysiącem kolorów.

Listek wleciał do środka.

– No dobra... Raz się jest odważnym lwem, raz nie – mruknął Leoś, choć serce biło mu jak oszalałe.

Wziął głęboki wdech i wszedł do środka.

Po kilku krokach otworzył się przed nim widok, jakiego nigdy dotąd nie widział.

Był tam **wielki ogród** – ale nie taki zwyczajny. Rośliny miały dziwne kształty, jakby były trochę podobne do... zwierząt. Nad grządkami unosiły się kolorowe światełka, a w powietrzu słychać było cichy śmiech i szept.

– Witaj w **Ogrodzie Supermocy** – rozległ się nagle ciepły, niski głos.

Leoś podskoczył i odwrócił się gwałtownie.

Przed nim stał... **Stary Dąb**. Miał twarz wyrytą w korze, mądre oczy z liści i gałęzie jak ramiona.

– J-ja... ja tylko... – zaczął Leoś zająknięty.

– Jesteś tu, bo coś w środku ciebie wołało o pomoc – powiedział Dąb łagodnie. – Jestem Strażnikiem Ogrodu Supermocy. A ty, mały lwie, nosisz w sobie ważne pytanie.

Leoś opuścił uszy.

– Chodzi o to, że... nie mogę jeść steku – wyszeptał. – Wszyscy mówią, że bez mięsa nie będę silny i odważny. Próbowałem jak inni. Próbowałem też udawać. I nic... Może jestem zepsutym lwem.

Stary Dąb zachichotał cicho, jakby wiatr poruszył jego liśćmi.

– Zepsuty? Och, nie. Ty po prostu jeszcze **nie znasz swojej supermocy**.

– Mojej... czego? – Leoś uniósł brwi.

– Supermocy. W tym ogrodzie mieszkają **warzywa-superbohaterowie i ziarna-siłacze**. Oni wiedzą, jak dodawać odwagi, siły i zdrowia. Ale nie wszyscy mają talerze wyglądające tak samo.

– To znaczy... że można być silnym lwem, nawet jeśli nie je się steku? – spytał nieśmiało Leoś.

– Wejdź głębiej, a sam zobaczysz – uśmiechnął się Dąb. – I pamiętaj: trzy razy możesz spróbować znaleźć swoją drogę. Dwa już próbowałeś na sawannie. Czas na trzeci, inny sposób.

Leoś poczuł, że w środku niego coś cichutko się rozjaśnia.

Leoś ruszył w głąb ogrodu. Wszystko tam było **żywe**.

Najpierw zobaczył grządkę wysokich, zielonych łodyg z pomarańczowymi czubkami wystającymi z ziemi.

Nagle jedna z nich drgnęła, wyskoczyła z ziemi i stanęła przed nim... na własnych, cienkich korzonkach.

– Hej, młody lwie! – zawołała wesoło. – Jestem **Marchewa Mocarchewa**, superbohaterka wzroku i skoków!

Marchewka miała małą pelerynkę z liści i maskę z kawałka łupinki.

– Ty... mówisz?! – Leoś aż otworzył paszczę ze zdziwienia.

– A jak! W tym ogrodzie każdy, kto ma moc, potrafi mówić – zaśmiała się Marchewa. – Słyszałam, że boisz się, że będziesz słaby.

– Bo nie umiem jeść steku – przyznał Leoś, spuszczaając wzrok.

Marchewa zadarła zieloną „fryzurę”.

– Stek, stek... Wszyscy tylko o steku! A czy ktoś im powiedział, że w moim pomarańczowym ciecie mieszkają **superwitaminy**, które ostrzą wzrok jak pazury i dają siłę do skakania?

Podskoczyła nagle tak wysoko, że dotknęła prawie liści drzewa.

– Wow! – wyrwało się Leosiowi.

– Chcesz spróbować? – spytała Marchewa. – Tylko tyle, ile chcesz. Tu nikt ci nie będzie wciskał nic na siłę. W tym ogrodzie słuchamy ciał.

Leoś poczuł, jak brzuch mu się rozluźnia.

„Nikt mnie nie zmusza... Mogę tylko spróbować. Tyle, ile chcę” – pomyślał z ulgą.

Marchewa odłamała mały kawałek ze swoich „pleców” i podała Leosiowi.

Leoś powąchał. Zapach był świeży, słodkawy. Włożył kawałek do pyszczka. Zaskoczył się.

– To... dobre – uśmiechnął się nieśmiało. – Chrupie!

– No jasne! – Marchewa zachichotała. – Jak mnie jesz, to twój wzrok robi się bystry jak u orła, a łapki lekkie jak sprężyny.

Leoś poczuł nagle, że ma ochotę **podskoczyć**. Zrobił mały skok.

Potem większy.

Potem trzeci – tak wielki, że przeskoczył mały kamień przed sobą.

– Umiesz w to! – wołała Marchewa, klaszcząc listkami.

Leoś roześmiał się pierwszy raz od dawna.

– Może stek ma swoją moc